ROZDZIAŁ 5

Bartosz 'Rorsarch' Boroński

Cywilizacja, część 2

Rorsach - antitizaya II

Sandomierz leżał około dwóch dni drogi od Radomia, jednak w okolicy spotykane były często zmutowane okazy fauny, stanowiące spore utrapienie dla podróżników, spowalniające marsz. Podróż przez Polskie Pustkowia odbywała się przeważnie w dzień, w nocy podróżowano tylko wtedy gdy było to konieczne. W świetle słońca, dość wciąż dość nikłym ze względu na wciąż duże stężenie pyłów w atmosferze, jednak nie tak duże, aby zablokować promienie, które powoli ogrzewały planetę. Zaraz po Wojnie wskaźniki temperatur wskazywały na zjawisko nuklearnej zimy, ale wbrew przewidywaniom, po dwóch latach temperatury stały się znośne dla człowieka, a teraz zaczynały wracać do przedwojennego poziomu. Jednak jak niesie plotka, północne obszary Europy Środkowej w niektórych miejscach skuł lód. Zastanawiając się czy kiedyś przekona się o tym na własne oczy, Rorsarch obserwował otoczenie przez lornetkę. Wyruszył z Radomia piętnaście godzin temu i zaczęło się ściemniać. Daleko na południe majaczyły jakieś większe ruiny, zapewne Sandomierz, ale wolał odpocząć, na wypadek nieprzewidzianych problemów w opuszczonym mieście. Spanie na Pustkowiu nie było bezpieczne, ale po ustawieniu czujnika ruchu na maksymalną czułość można było przespać te kilka godzin, schowanym bezpiecznie w jakimś zrujnowanym domu czy piwnicy. Sen pod gołym niebem można było zakończyć z kulką w głowie, posłaną ze sporej odległości, więc nikt nie podejmował takiego ryzyka. Nad ranem, gdy minęło sześć godzin, wyszedł z piwnicy, w której nocował i ruszył do Sandomierza. Gdy zbliżał się do miasta, czujnik na jego ręku zaczął ostrzegać go przed promieniowaniem. Kolejna rzecz, która powstrzymała szabrowników. Póki co oscylowało w granicach niewielkiego wzrostu, ale im bliżej domniemanej lokalizacji schronu, tym bardziej rosło. Miasto było dość dobrze zachowane, najprawdopodobniej promieniowanie było tu wcześniej o wiele wyższe, odstraszając wszystkich, którzy tu przechodzili. Schron, który był jedynym w Sandomierzu, gdyż budowy opóźniały się i z zapowiadanych kilku tysięcy powstało wiele mniej, budowę opłacił prywatny właściciel. Nawet powiększony, z wytrzymalszymi ścianami i awaryjnym wyjściem, nie wytrzymał fali uderzeniowej bomby, która spadła na Tarnobrzeg, gdzie umieszczono wojskowe ośrodki badawcze. Po godzinie spaceru przez ruiny, przybysz ze Schronu Piątego dotarł do głównego wejścia. Było zasypane gruzem i wielkimi kamieniami, które wyglądały, jakby ktoś specjalnie je umieścił nad nasypie nad wejściem. Awaryjne wejście powinno łączyć się ze śluzą, bądź posiadać własną. Pierwsza teza szybko

upadła, w okolicy, gdzie powinna być główna śluza, nie było niczego, co mogłoby być awaryjnym wejściem. Po niemal całym dniu poszukiwań znalazł fragmenty litej skały a potem małą piwnicę, w której było zejście do wejścia awaryjnego. Małe, pancerne drzwi, nie do ruszenia dynamitem, były zasilane awaryjnymi generatorami: wewnątrz i na zewnątrz schronu. Zewnętrzny generator musiał być ukryty w skale, umieszczenie go na zewnątrz spowodowałoby szybkie jego zniszczenie bądź rozszabrowanie. Po kolejnej godzinie poszukiwań, znalazł w ścianie kilka szczelin, a dłuższe dłubanie w niej nożem spowodowało rozsypanie się, pozornie ciągłej, ściany odsłaniając generator. Klasyczne włączenie go przyciskiem nie dało rezultatu i szybko wyszło na jaw czemu — brak było paliwa. Generator był do bólu klasyczny, działał na ropę. Problemem było wytrzaśnięcie paliwa, przedwojenna Polska nastawiła się na samowystarczalność, więc na gaz i energię termojądrową. Ropa nie była czymś powszechnym, głownie z powodu zatargów z Rosją i niewystarczających zapasów własnych. Samochody głównie jeździły na gaz, samochody elektryczne spopularyzowały się wraz z ogniwami termojądrowymi, gdyż poprzednie technologie przestały być wspierane po kryzysie z początku XXI w. z braku funduszy, a Europa musiała bulić Gazpromowi i się zbroić, w związku z czym projekty inne niż wojskowe miały minimalne szanse przebicia. Istniejące napędy hybrydowe bądź elektryczne wymagały częstych doładowań a infrastruktura tworzona w tym celu była rzadkością. Krążąc po napromieniowanym mieście, chodził od wraku do wraku i przeszukiwał zbiorniki samochodów. Większość z nich była gazowa, ale w jednym z nich znalazł trochę ropy, która jakoś ocalała przez te wszystkie lata. Niosąc cenny płyn, po drodze jego uwagę przykuł przedwojenny plakat filmowy, z którego ostał się tylko tytuł: Moda na Sukces: The Movie. Najdłuższy film w historii kina!! Gdy napełnił zbiornik generatora i go odpalił, ten cicho zabuczał i zaczął pracować. Podszedł do drzwi i wcisnął guzik odpowiedzialny za ich otwieranie. Drzwi otworzyły się z piekielnym zgrzytem, jednocześnie uruchomił się licznik na ich wewnętrznej stronie, pokazując za ile sekund zamkną się, ze względu na słaby stan paliwa w generatorze zewnętrznym. Wszedł do środka, chwilę potem drzwi zamknęły się i uszczelniły. W środku panował mrok, który szybko rozjaśnił sobie wbudowanym w gogle noktowizorem. Szedł z wyjętym pistoletem, rozglądając się na boki, szukając mapy schronu gdy nagle usłyszał chrupnięcie. Spojrzał pod nogi i zakręciło mu się w głowie. Podłoga usłana byłą ludzkimi kośćmi!

Należące do mieszkańców schronu, leżały w nieładzie, niektóre częściowo stopione. Dopiero teraz zauważył, że ściany również uległy stopieniu, co spowodowało że były niezwykle gładkie a on sam nie mógł znaleźć mapy schronu. Hamując swoje przerażenie na widok tylu ludzkich kości, brnął dalej, usiłując się nie patrzeć pod nogi, do czego niemal zmuszały go odgłosy chrupnięć. Starając się nie dopuszczać do siebie myśli, że stąpa po ludzkich szczątkach zmierzał do centrum dowodzenia i łączności, gdzie mieścił się magazyn z walizkowymi reaktorami. Jednak z każdym kolejnym krokiem było mu coraz ciężej iść, nogi uginały się pod nim, kiedy słyszał kolejne chrupnięcia pod swoimi stopami. Nigdy nie przerażał go widok ludzkich ciał, lecz zwykle widywał zabitych, uzbrojonych mężczyzn, ba, sam ich zabijał i nie miał potem koszmarów w nocy. Tutaj stąpał po kościach kobiet i dzieci, co zaczynało powoli odbijać się na jego psychice. Nogi odmawiały posłuszeństwa, zmęczone całodziennym marszem, ale szedł dalej, chcąc jak najszybciej opuścić to miejsce. Im bliżej był centrum dowodzenia, tym więcej szczątek było wtopionych w podłogę a poziom radiacji rósł. W centrum dowodzenia umieszczony był główny reaktor termojądrowy, czyżby to on wybuchł i spowodował zagładę schronu? Nie miał czasu na myślenie, musiał jak najszybciej odnaleźć przenośny reaktor i wynosić się stamtąd. W końcu doszedł do celu. Gigantyczna gródź leżała przed wejściem, odrzucona przez jakąś potężną siłę, a poziom radiacji wzrósł nagle do wartości niebezpiecznych dla zdrowia przy dłuższym przebywaniu. Wszedł do środka i skierował się do szafek zaopatrzenia, czując przypływ sił i pulsującą w uszach krew, spowodowane realnym zagrożeniem. Na chwilę przestał myśleć o trupach i skoncentrował się na reaktorze. Otworzył przy pomocy wytrychów szafkę i zajrzał do środka. Znajdowała się w niej jedynie sporych rozmiarów walizka, z napisem na boku: PETA — Przenośna Elektrownia TermojądrowA. Nie zastanawiał się, skąd Chińczycy mieli PETĘ, ale zapewne dali wystarczająco dużo w łapę i dostali. Podniósł walizkę i przekonał się że waży dość sporo, na pewno opóźni jego marsz, wystawiając go na dłuższe wpatrywanie się w ludzkie szczątki rozsiane po podłodze. Po blisko dwudziestominutowym przedzieraniu się przez schron dotarł do awaryjnego wyjścia, gdzie spotkała go przykra niespodzianka, generator miał zbyt mało paliwa, aby otworzyć drzwi! Generator główny w schronie nie działał, awaryjny powinien być gdzieś blisko, ale gdzie? Postawił walizkę i zaczął przeszukiwać stopione ściany. Po chwili wpatrywania znalazł sporych

rozmiarów drzwiczki, stopione ze ścianą. Nie do ruszenia, bez palnika plazmowego. Takowych nie było zbyt wiele, przed wojną wyprodukowano kilkaset sztuk, to pracy w trudnych warunkach m.in. w przestrzeni kosmicznej. Na pewno nie było ich w schronach. Usiadł, załamany sytuacją, gdy przypomniał sobie po co tu przyszedł. Reaktor! Otworzył solidną walizkę i ujrzał duże ogniwo termojądrowe, trochę transformatorów i różnych tego typu urządzeń oraz kilka kabli. Podszedł do drzwi i zaczął rozbierać dolny zawias, gdzie jak sądził znajdował się silnik ruszający drzwiami. Mylił się, biegła tam jednak elektronika, w tym dwa grube kable, identyczne jak te w walizce. Przeciął je i połączył z tymi z walizki, po czym rozpoczął inicjację elektrowni. Po chwili zaczęła wysyłać energię elektryczną z ogniwa, co spowodowało zgrzytnięcie drzwi i ich otworzenie. Rorsarch podniósł wciąż podłączoną elektrownię, wyniósł na zewnątrz, gdzie panował już mrok , postawił walizkę na ziemi, wyszarpnął kable z pewnej odległości, aby uniknąć zatrzaśnięcia w środku, gdyż drzwi zamykały się samodzielnie, dzięki systemowi siłowników z autonomicznym zasilaniem. Spakował reaktor, zamknął walizkę i poszukał jakiejś piwnicy, w której mógłby spędzić noc. Nie spał. Wciąż nękały go obrazy ze schronu, te wszystkie kości. W końcu zmęczenie wzięło górę nad wizjami i zasnął. Spał długo, kiedy wstał, nieco już mniej poruszony tym co widział, wyszedł z piwnicy i ruszył w stronę siedziby już teraz Zakonu Dnia Wędrówki, aby tam odpocząć i dostarczyć reaktor do Radomia. Po drodze kilka razy po prostu nie miał siły, nękany obrazami ze schronu siadał na ziemi i starał się je zwalczyć. Zaczęły kończyć mu się zapasy żywności, wody jeszcze trochę miał, jednak taszczenie tej walizki pochłaniało wiele sił i spowalniało marsz. Po trzech dniach marszu i słabnących wspomnień, dotarł do Starachowic. Zakonnicy zaopiekowali się nim i walizką, odpoczął dwa dni, już niemal całkowicie wypierając wspomnienie i pełen nowych sił wyruszył do Radomia. Przyszedł chwilę po zakończeniu walki z natarciem kilku mutantów, ich truchło leżało w kilku miejscach przed miastem. Z ciążącą mu walizką dotarł do biura szeryfa. Wszedł, postawił reaktor i padł na fotel, obiecując sobie, że zaraz pójdzie i wypije najmocniejszy trunek jaki mają w knajpie, choćby był to bimber. Szeryf niedowierzając własnym oczom, otworzył pakunek i usiadł z wrażenia na podłodze.

— Kurwa, zrobiłeś to. Tachałeś taki ciężar przez te wypalone ziemie, naprawdę jestem pełen podziwu.

— Wizyta w schronie kosztowała mnie trochę zdrowia psychicznego, ale nagroda powinna to zrekompensować.

Szeryf wyjął ze stojaka Dragunowa i kilkanaście magazynków, po czym podał je odpoczywającemu Rorsarchowi.

— Wiem, że rządowy Schron Numer Trzy znajdował się w Lublinie. To jest fakt. Natomiast schron, którego poszukujesz, Schron Zero, podejrzewamy, że nie istnieje. Budowa się rozpoczęła przed Wojną, ale ponoć nie została ukończona, kilku ludzi mówiło, że jest zniszczony i nie było w nim wyposażenia. Poza tym w Warszawie promieniowanie jest niesamowicie wysokie, miasto w większości jest opuszczone nawet przez zieloniaków.

— Zieloniacy? Słyszałem już kilka razy tę nazwę ale nie zetknąłem się z żadnym. Podobno są niesamowicie odporni na promieniowanie.

— Tak, to ludzie, którzy nie mieli tyle szczęścia co ty i ja i zostali napromieniowani zbyt mocno, ale nie na tyle, żeby umrzeć. Są niemal niewrażliwi na promieniowanie, ale zapłacili za to okrutną cenę, poza tym ciężko wytrzymać w ich towarzystwie bez maski gazowej.

— Słyszałem, podobno śmierdzą gorzej niż trupy.

— Poprawka, to są niemal żywe trupy. A ty powinieneś skorzystać z prysznica i brzytwy, zarosłeś trochę od kiedy tu przybyłeś i lekko capisz. W barze są prysznice, świeżo zainstalowane. Właściwie to już nie bar a hotel.

— Dzięki za informację, na pewno skorzystam.

Z niemałym trudem, tachając swoje wyposażenie, powlókł się do sklepu, gdzie wymienił kałasza i karabinek na amunicję do karabinu snajperskiego, zapasy i książkę o pierwszej pomocy. Następnie skierował się do baru, przepraszam, hotelu, w którym skorzystał z orzeźwiającego i zarazem przydatnego po tylu dniach podróży przez Pustkowia. Następnie ruszył do baru, za którym zobaczył starego bimbrownika, w roli barmana.

— Setkę wódki, na koszt firmy. – powiedział

— Hej, gdzie z łapami na stół, dopiero co go czyściłem! – powiedział lekko wkurzony barman.

— Spokojnie, nie upierdolę ci stołu, dopiero co zażyłem kąpieli, poza tym jestem w rękawiczkach, nie zostawiam tłustych odcisków!

— Dałeś się na to nabrać? W życiu nie wywaliłbym cię z tego baru, po tym co dla mnie zrobiłeś. Ten koleś dał mi pracę i wymyśliłem własną wódkę, chcesz spróbować? – odparł rozbawiony były bimbrownik.

Pamiętając jeszcze smak bimbru, który nieomal pozbawił go kilku elementów przewodu pokarmowego, odrzekł:

— Nie dzięki, innym razem, teraz wolę coś klasycznego.

— Nie ma już nic klasycznego, jest tylko alkohol z bimbrowni.

— No to coś o składzie niemal identycznym z wódką.

— Wiedziałem, że dasz się namówić na mój wyrób. Nazywa się Kamilówka.

— To zapewne błąd, ale dawaj.

Barman postawił czyściutki kieliszek i napełnił go przezroczystym płynem. Rorsarch z dużą rezerwą powąchał zawartość, po czym wypił jednym haustem. O dziwo nowy wymysł bimbrownika nie wypalał przełyku, dopiero żołądek, ale mimo wszystko przyjemnie rozgrzewał.

— Słabsze od bimbru, ale da się wypić. – powiedział barman widząc, że gość zaakceptował nowy trunek.

— Polej jeszcze i idę się przespać, łóżka załatwiać u ciebie czy u tego drugiego?

Kamil napełnił kieliszek i zawołał: — Mateusz! Chodź tu do lady!

Po chwili przyszedł właściciel hotelu.

— Witam, chcę wynająć łóżko.

— Żaden problem, masz tu klucz, korzystaj ile wlezie. – powiedział właściciel.

— Wydaje mi się, że miałem dostać tylko darmowy alkohol, ale nie pogardzę darmowym pokojem. – powiedział z uśmiechem Rorsarch.

— Rozkręciłeś mój biznes, nie mogę ci się nie odwdzięczyć. Śpij ile wlezie, pewnie ostatnio nie miałeś zbyt wiele okazji do spania w łóżku.

— Zgadza się, — odparł, śmiejąc się – ale posłania zakonników nie są takie złe. Nocowałem tam parę razy i poza budzącymi ze snu mutantami nie jest źle.

Skorzystał jeszcze z hotelowej brzytwy i poszedł do pokoju się wyspać. Koszmary, stłumione alkoholem, nie atakowały go tej nocy. Rano, zjadł nieco lepsze śniadanie, choć wciąż fatalne i zabrał się za lekturę poradnika pierwszej pomocy.

*

Korzystając z mapy, którą dostał od Włóczykija, wiedział, że czeka go kawałek drogi i przeprawa przez Wisłę. Nie miał łódki ani pontonu, ale przecież wszystkie mosty się nie zawaliły, przynajmniej na to liczył.

Przedwojenna przeprawa miała mieścić się w Puławach, do których dotarcie zajęłoby mu około dwunastu godzin. Nie widząc ciekawszych perspektyw, wyruszył. Dwanaście godzin okazało się wystarczającym czasem, ale Pustkowie też było dziwnie spokojnie, zwykle na drodze spotykał kilka śladów bytności 'zwierząt', tym razem było pusto. Kiedy podszedł dość blisko Puław, poobserwował miasto przez lornetkę. Miasto wydawało się opuszczone, choć jego uwagę przykuło niewyraźne, białe graffiti na murze, przypominające jakąś czteronożną istotę. Postanawiając dotrzeć do miasta przed zmrokiem, który nieubłaganie nadciągał, przyspieszył kroku. Kiedy zbliżył się do ściany z malunkiem, rozpoznał zwierzę. Pamiętał je tylko z przedwojennych filmów przyrodniczych, była to lama. Kto mógł namalować tutaj lamę i po co? Ponieważ było już coraz ciemniej i musiał wspomagać swój wzrok noktowizorem, ruszył w kierunku mostu, który jak zauważył przez lornetkę, wydawał się być cały. Przekradając się miedzy uliczkami, zaniepokojony przez symbol na murze, powoli docierał w stronę przeprawy. Nagle dojrzał jakiś blask między uliczkami, a kiedy przyjrzał się temu z bezpiecznej odległości, zobaczył grupkę ubranych na brązowo kobiet, siedzących przy ognisku, na tyle uzbrojonych, aby nie przepuścić nikogo przez ulicę. Kiedy przyglądał się im przez lunetę celownika, zauważył, że każda na swoim kombinezonie miała wyszyty biały znaczek, wyglądający jak ten z muru. – Pewnie jakiś kult oparty na wierze w lamy czy coś podobnego. – pomyślał. Oddalił się i schował kilka budynków dalej, postanawiając odpocząć i przeczekać do rana. Niepostrzeżenie zapadł w sen. Wędrował przez Pustkowie, z kończącym się zapasem wody, jego sytuacja nie wyglądała najlepiej. Nie wiedział dokąd szedł, po co, ani dlaczego się tu znalazł. Czuł tylko potrzebę podróży na zachód. Nagle wypalona słońcem ziemia zmieniła się w podłogę schronu, pokrytą stopionymi szczątkami ludzkimi. Przerażony wędrowiec chciał zawrócić, ale nie miał dokąd, wszędzie leżały szczątki. Wiedząc, że nie ma wyjścia, wędrował dalej na zachód. Nagle jedna z leżących czaszek zapłonęła czarnym ogniem, zaczęła lewitować i podążać za Rorsarchem. Ten wyjął broń i wymierzył do tego płonącego horroru, strzelając kilka razy, co nie dało żadnego skutku. Przerażony, stanął i zaczął gapić się w to niecodzienne zjawisko, które przemówiło nieprzyjaznym głosem:

— Czyżbyś nie wiedział po co idziesz? – spytało drwiąco.

— Czym jesteś? – spytał Rorsarch, kontynuując przerwany marsz.

— Och, wytworem twojej wyobraźni, zwykłą senną marą, nie musisz się mną przejmować. Więc nie wiesz po co idziesz? Nie, nie trudź się odpowiedzią. W końcu to wszystko dzieje się w twoim śnie, więc wiem co chcesz odpowiedzieć. Nie wiesz dokąd zmierzasz ani po co, nieprawdaż?

— Szukam człowieka, którego nazwisko zapewne znasz, skoro jesteś wytworem mojej wyobraźni.

— Tak, doktor Steinman. Po co go szukasz? Przecież on pewnie nie żyje, nie mógł przeżyć eksplozji, jak inni mieszkańcy Schronu. A nawet jeśli przeżył, to był zbyt okaleczony, aby przetrwać wystarczająco długo.

— Po co? Chcę mu zadać jedno, ważne pytanie, którego nie zdążyłem mu zadać, zanim kompletnie oszalał.

— Czyżbyś chciał dokończyć to, co on zaczął? A nie, ty chcesz dokończyć to, czego tobie nie udało zrobić. Ale czemu? Ach, no tak. To przez niego stałeś się tym, czym jesteś, nieznającym litości człowiekiem, niezadającym pytań. Mogłeś przecież zejść do tych ludzi, w Ostrowcu, udając biedaka, myślałeś o tym, wiem to przecież. A ty zebrałeś ludzi i wyrżnąłeś ich w pień, bez oporów moralnych.

— Zamknij się, wszystko było w porządku dopóki nie zobaczyłem, — głos zaczął mu się łamać. – tamtych szczątek.

— Tak, szczątki niewinnych, dokładnie jak wtedy. Tylko wtedy jakoś się tym nie przejąłeś, ba, uodporniłeś się. Stałeś się zimną skorupą, do której nie dochodziły żadne ludzkie odruchy. Ale nagle coś w tobie pękło, co to było? Ach tak, to było potem. Nagle dotarło do ciebie, co on planuje, że to nie są tylko zwykłe badania. Że on planuje coś zgoła innego, planuje zamienić ludzi w wyższą formę. Wtedy postanowiłeś to zakończyć, ale było już za późno. Ale od wspomnień nie uciekniesz, możesz je zagłuszyć, stłumić, wyprzeć do jakiegoś wyimaginowanego pomieszczenia w swoim mózgu i trzymać tam zamknięte, licząc, że nigdy nie znajdzie się odpowiedni klucz. Jednak się znalazł i zalał twoją świadomość tym wszystkim, co chciałeś zapomnieć. Ale czekaj, czyżbyś już nieco wcześniej nie znalazł klucza? Przecież niemal otworzyłeś to pomieszczenie, wtedy. Tak, dokonałeś małej masakry na tych

— Dosyć! – krzyknął, nieświadom tego, że krzyczy również w realnym świecie, zwracając na siebie uwagę mieszkanek. – Tak trzeba było, nie można było pozwolić żeby

— Tak, tak, człowiek zawsze usprawiedliwia to w taki sposób. Trzeba było, nie można było inaczej, to było konieczne. Mogłeś ich ominąć, przejść obok. Ale nie, ty nagle poczułeś się jak jakiś mściciel. To

wtedy niemal sięgnąłeś tak głęboko pamięcią, że natknąłeś się na to zamknięte pomieszczenie, starając się nie wspominać co tam było. Jakoś jednak je ominąłeś, trzymając klucz w ręku. Ale nie wspominajmy już tego, może innym razem. A czemu idziesz na zachód? – zapytała jakby dogasająca czaszka.

— Czuję, że muszę tam iść. Po prostu to wiem. – odparł zmęczony wędrowiec.

— Więc przyj do swego celu, ale pamiętaj, wspomnienia nie znikają, zawsze cię dopadną. – powiedziała jakby ostatkiem sił czaszka, po czym zgasła i padła na ziemię, która zmieniła się nagle w czarną, pustą przestrzeń i wtedy Rorsarch się obudził. Po kilku sekundach zorientował się, że nie jest sam w pomieszczeniu. Razem z nim były tam trzy lufy od karabinów i ich właścicielki.

*

– Nie próbuj sięgać po broń. – rzuciła szorstko jedna z kobiet. – Wstawaj i oddaj swój karabin.

Przeklinając w myślach to, że zapomniał włączyć czujnika ruchu, oddał swoją broń, po czym wstał.

— Masz jeszcze jakąś broń?

Wyjął jeszcze z płaszcza pistolet, i nóż, postanawiając nie wspominać o kilku nożach do rzucania, ukrytych bezpiecznie w bucie. Jedna z kobiet wyszła, a kolejna stanęła za nim i popychając lufą karabinu zmusiła do wyjścia. Wciąż panował półmrok, ale najprawdopodobniej zbliżał się ranek, stwierdził po wygaszonym ognisku. Uzbrojone kobiety prowadziły go, aż dotarli do najprawdopodobniej odrestaurowanego budynku, pokrytego białymi symbolami lam. Miał tylko parter, ale wyglądało na to, że jest silnie chroniony. Jedna ze strażniczek weszła do środka i po chwili wyszła, dając gestem do zrozumienia, że mogą wprowadzić Rorsarcha do środka. Wciąż popychany lufą karabinu, wszedł do środka, gdzie skierowano go do rozległego pokoju. W nim znajdował się stary, podziurawiony dywan, najprawdopodobniej bardzo cenny w dawnych czasach, duże krzesło stylizowane na tron, za którym stało kilkanaście kadzidełek. Na tronie siedziała niewysoka, na oko trzydziestoletnia kobieta, z rudymi włosami i czymś co wyglądało jak pyski lamy na głowie. Przy pomocy kolby karabinu został zmuszony do pokłonienia się przed nią.

— Witaj przybyszu, — zaczęła. – kim jesteś?

— Nazywam się Rorsarch. – odpowiedział zdawkowo.

— Czego szukasz w tych stronach? I czy aby nie przysyła cię Włóczykij?

— Chcę przedostać się na drugą stronę Wisły. Nie, nie przysyła mnie Włóczykij.

— Hmm dałabym sobie moją głowę uciąć, że już cię gdzieś widziałam. No tak! To ty byłeś w Ostrowcu!

Ostrowiec? Nagle przypomniał sobie strzał tajemniczego snajpera i ostatnie słowa najemnika. Snajperem była najprawdopodobniej ta dziwna kobieta z lamim pyskiem na głowie, to ona wynajęła tych ludzi i miała interes w oczernieniu Włóczykija, ale jaki?

— Więc to ty byłaś tym snajperem i to ty wynajęłaś tych ludzi.

— Nie powinno ciebie to obchodzić. Liczy się to, że byłeś tam i strzelałeś do tych ludzi, więc on cię przysłał i żebyś zrobił to samo tutaj.

— Przy pomocy mojego karabinu mogłem wykończyć ten posterunek zanim by się zorientowały, jakoś tego nie zrobiłem.

— Och, chciałeś się pewnie zakraść. Udowodnij, że nie miałeś tego zamiaru. – powiedziała, zbliżając się do niego. Wykorzystując to, że strażniczki patrzyły na tę kobietę, niezauważenie sięgnął po wyważony nóż i schował go w rękawie. Kiedy podeszła do niego, skoczył na nią, wysuwając nóż z rękawa i przystawiając go jej do gardła.

— Nie mam zamiaru tego robić, ale będę zmuszony, jeśli te przemiłe panie nie opuszczą broni.

— Opuśćcie broń. – rozkazała im.

— Dziękuję. Moja kolej na zadawanie pytań. Czemu oczerniałaś kult Włóczykija?

— Bo on, on – zaczęła mówić, zanosząc się szlochem, pomimo tego, że miała nóż na gardle. – on powiedział że od spania się nie rośnie!

Gdzie ja trafiłem, — pomyślał. – wolałbym już trafić na gang łupieżców niż na bandę rozhisteryzowanych kobiet. Już zaczynał współczuć kobiecie, gdy nagle przypomniała mu się czaszka ze snu i momentalnie pozbył się tego uczucia.

— I dlatego chcesz sprawić, żeby był nienawidzony?

— TAK! – wrzasnęła.

Zdjął nóż z jej gardła i schował do cholewy.

— Nie on mnie przysyła, nie mam wrogich zamiarów i ufam, że w tym momencie wy też nie macie. – powiedział, przygotowując się do

asekuracyjnego skoku przez wybite okno, ponieważ strażniczki zleciały się słysząc płacz ich przywódczyni. Ta odpowiedziała:

— Skoro nie wykorzystałeś okazji i mnie nie zabiłeś, ufamy ci, przynajmniej na razie. Oddać mu jego broń, — zwróciła się do strażniczek, a następnie do niego. – ale mamy cię na oku. Ze swoją bronią poczuł się o wiele raźniej, jednak sprawa tego konfliktu zaciekawiła go tak bardzo, że postanowił się dowiedzieć czegoś jeszcze.

— Mogę dowiedzieć się czegoś o waszym kulcie/zakonie/stowarzyszeniu?

— Jesteśmy Plemieniem Lamy, a ja jestem najwyższą kapłanką, Wielką Lamką. Moje imię brzmi William.

To tłumaczyło te symbole, ale coś ciągle nurtowało Rorsarcha.

— Czemu akurat Plemię Lamy?

— Bo lamy były najsłodszymi stworzeniami na Ziemi przed Wojną! Pamięć o tych cudownych stworzeniach nie może zaginąć!

— No dobra, a skąd konflikt z Włóczykijem? Ponoć wywodzi się z wrocławskiego schronu, ty też stamtąd pochodzisz?

— Nie, mieszkałam jakiś czas u niego, prowadząc coś w rodzaju tego jego kultu, tylko że skupiałam same kobiety. Pewnego dnia wywiązała się między nami dyskusja na temat mojego wzrostu no i mnie obraził! Powiedział, że od spania się nie rośnie!

Bo się nie rośnie. – pomyślał Rorsarch, ale wolał nie ujawniać tego sekretu w obawie o swoje życie.

— Dziękuję za te informacje, mogę używać waszego mostu? Muszę dostać się do Lublina.

— Lublin? Miasto jej zdewastowane, osłoniła je tarcza antyrakietowa, ale zbyt nisko miasta i opad radioaktywny je przykrył. Promieniowanie jest tam na tyle wysokie, żeby zabić po kilku minutach bez skafandra ochronnego.

— Gdzie mógłbym zdobyć taki skafander?

— Tak się składa, że mamy kilka na składzie. Pożyczymy ci jeden, ale zrobisz coś dla nas w Lublinie. Jako że miasto nie zostało rozszabrowane, jest szansa, że znajdziesz dla nas coś przydatnego, mianowicie: potrzebujemy zdjęcie lamy.

W tym momencie Rorsarch nagle stracił kontakt z rzeczywistością. Czego chcą? Zdjęcie jakiegoś przedwojennego stworzenia? W czasach gdzie ludzie nie są pewni kolejnego dnia, a czasem i obecnego, one wysyłają go po jakieś zdjęcie? No nic, przynajmniej dostanie kombinezon

i być może dostanie się do rządowego schronu. Już zaczynał w głowie szykować plan ucieczki, żeby nie szukać jakiegoś obrazka, gdy Wiliam zaczęła dalej:

— Ponieważ mamy kilka kombinezonów, pójdę z tobą.

To by było na tyle. Plan zniknięcia z Lublina właśnie został zaprzepaszczony. Zawsze mógł wyeliminować kobietę w Lublinie, ale wtedy najprawdopodobniej nie mógłby wracać przez Puławy a poza tym pozostałe mogłyby go ścigać. Był w trudnej sytuacji, ale nie miał innego pomysłu, skąd wziąć skafander ochronny. Musiał przystać na propozycję Lam.

— Ech, zgoda. – powiedział zrezygnowany.

Kilka godzin później zabrał spakowany skafander i włożył do zaimprowizowanego plecaka, gdyż nie widział sensu chodzenia w szczelnym kombinezonie przez spalone promieniowaniem Pustkowie. Wiliam najprawdopodobniej uważała tak samo, gdyż spakowała kombinezon do torby, którą nosiła na ramieniu. Posiadała też małej mocy pistolet, nieskuteczny na dłuższe dystanse ale przy walce oko w oko przydatny. Mając nadzieję, że nie będzie musiał jej niańczyć wyruszył czym prędzej przez solidny most, który jakoś przetrwał nuklearny holokaust. Gdy przebyli już około ¾ drogi, licznik Geigera na jego ręku zaczął natarczywie pikać, informując, że miejscowe promieniowanie przekracza już dozwoloną normie i rośnie w szybkim tempie. Zarządził przerwę i wdział skafander. Ubranie ochronne było do nałożenia na własny strój, dość wygodne i wytrzymałe, jednocześnie chroniło przed promieniowaniem. Pomimo swojego zakręcenia nie uznawał Lam za religijne świry, o jakich słyszał, ale nie były normalne, przynajmniej w jego mniemaniu. Mimo wszystko były całkiem dobrze uzbrojone i to stanowiło o potencjalnym zagrożeniu z ich strony. Zastanawiało go jednak, czemu same nie zapuszczały się do Lublina, przecież miały skafandry i uzbrojenie. Najwyraźniej było tam coś, co mogło przeszkadzać w swobodnej eksploracji i nie było to promieniowanie. Powoli wkraczali do opuszczonego miasta, które wyglądało jak przed Wojną, uszkodzenia były niezbyt duże, jedynie najwyższe piętra były zdewastowane, niższe zachowały się w całości. Nie mieli żadnego przewodnika, więc Rorsarch uważnie obserwował teren, na wypadek szybkiej ucieczki. Schrony przeważnie znajdowały blisko osiedli mieszkalnych, ale ich rządowe i wojskowe wersje były rozmieszczone różnie. W pewnym momencie zauważył budynek z tabliczką ‘Ratusz

miejski'. Kazał Wiliam zostać i pilnować pod drzwiami, dopóki on nie sprawdzi, czy nikogo nie ma w środku. Na parterze znajdowała się stróżówka i kilka gabinetów, w których znalazł głównie sprawozdania księgowe. Ruszył ostrożnie na pierwsze piętro, z pistoletem w dłoni. Chodził z nim cały czas, od kiedy założył skafander, gdyż nie miałby opcji wyjęcie go spod płaszcza. Po wejściu na pierwsze piętro w oczy rzucił mu się ogólny rozgardiasz. Najprawdopodobniej, gdy zabrzmiały syreny, ludzie rzucili się do ucieczki, zostawiając bałagan. Zaczął się zastanawiać co tutaj poszło nie tak. Schron się zawalił podczas uderzenia, czy może jeszcze przed? Nie dokończono budowy? Przeszukując pomieszczenia znalazł kilkanaście map miasta, z czego jedną włożył do jedynej kieszeni w skafandrze, ale nie mógł znaleźć nigdzie mapy z zaznaczonym schronem. Dotarł w końcu do pokoju burmistrza, w którym znalazł zamkniętą na klucz szafkę. Wytrychy miał w płaszczu, więc ich wydobycie było niemożliwe, bez narażenia życia. Zamek był tradycyjny, pomimo postępów technicznych wyposażenie gabinetów było do bólu klasyczne. Stanął z boku i zaczął uderzać rękojeścią pistoletu w zawias, starając się go usunąć. Jego próby dały umiarkowany efekt, szafka się przewróciła, przez co wyleciało z niej dno. Zaglądając do środka, przy pomocy karabinu wygarnął całą jej zawartość. Znalazł kilkanaście dokumentów ale nigdzie nie widział jakiejkolwiek mapy lokalizacyjnej. Podszedł do biurka i zaczął je przeszukiwać, również bez efektu. Zdenerwowany, kopnął biurko, które się przewróciło i odsłoniło to, co było pod nim. Okazało się, że była to jakaś odręczna notatka, która musiała tam spaść, jednak z drugiej strony znajdował się sygnowany prezydenckim nazwiskiem rozkaz udania się do schronu, w wypadku usłyszenia sygnału alarmowego. Poniżej były podana lokacja Schronu Numer Trzy. Znalazł go na mapie i stwierdził, że znajduje się kilka budynków dalej. Wyszedł przed budynek i natychmiast wzmógł czujność – Wiliam nie było przed drzwiami. Z wyciągniętym i nabitym pistoletem zaczął jej szukać. Była za pobliskim murkiem.

— Czemu się schowałaś? – powiedział najciszej jak mógł, podchodząc do niej.

— Usłyszałam jakieś kroki na ulicy, więc nie chciałam być na widoku. – odparła.

— Widziałaś, co to było?

— Nie, kroki szybko umilkły.

Więc nie byli sami w mieście. Ktoś jeszcze się po nim przemieszczał, pomimo tego, że zapadał zmrok. Nie miał zamiaru nocować w tej okolicy, więc musiał się pospieszyć. Z powodu maski nie mógł włączyć noktowizora, więc musiał polegać na własnym wzroku, co było kolejnym utrudnieniem jego zadania. Do tego musiał znaleźć ten zakichany obrazek lamy, więc naprawdę nie miał czasu. Po krótkim i ostrożnym marszu doszli do muzeum przyrodniczego, gdzie miał się znajdować pierwszy ze schronów. Weszli do środka i kazał Wiliam sprawdzić lewą salę, a sam poszedł do prawej. Ledwo przekroczył drzwi, jego wzrok przykuła wielka, wypchana, biała lama. Zaklął w duchu, wiedząc, że jak kapłanka to zobaczy, każe mu to targać ze sobą do ich obozu. Zapewne to, że jest napromieniowana nie będzie jej przeszkadzać. Szybko przewrócił lamę, oddzielając kilkoma kopniakami głowę od tułowia, które szybko schował za jakąś wystawą, a łeb wziął, żeby przynajmniej ona się od niego odczepiła. Lama, którą właśnie pozbawił reszty ciała miała według niego wręcz idiotyczny wyraz twarzy, ale wiedział co powie kobieta – jaka śliczniutka, słodziutka! Przeszedł do końca sali wystawowej i spotkał się z kapłanką.

— O jej, jaka śliczniutka i słodziutka! Oddaj mi ją, muszę ją mieć!

— Możesz wracać do swoich, macie to czego chciałyście. Zwrócę wam skafander jak przeżyję.

— Nie, nie wracam. Tam jest nudno, zwrócę im lamę i chcę podróżować z tobą.

Tego się nie spodziewał. Nie miał zamiaru się zgodzić, więc szybko zaoponował:

— Nic z tego, podróżuję sam.

— Obawiasz się, że nie zadbam o siebie? Umiem to zrobić, w końcu to ja byłam w Ostrowcu i jakoś wróciłam do Puław.

— Co nie zmienia faktu, że się nie zgadzam. Nie potrzebuję kompana do podróży, przynajmniej nie takiego jak ty. Odejdź póki jeszcze coś widać i uważaj na siebie. – powiedział, po czym po prostu poszedł w głąb muzeum, zostawiając ją samą. Starając się odczytać mapę, znalazł lokalizację Schronu Numer Trzy. Był to kawałek drogi, a on czuł się coraz bardziej zmęczony. Wiedział, że nie ma wyjścia i musi wytrzymać. Po niemal godzinnym przekradaniu się przez miasto, dotarł tam, gdzie trzeba. Wejście miało się znajdować w piwnicach miejscowego uniwersytetu. Wszedł do środka i zmierzając w stronę piwnicy, usłyszał kroki. Schował się w jednym z pomieszczeń, dyskretnie obserwując

korytarz. Po chwili zobaczył źródło hałasu, byli nim dwaj ludzie w czarnych pancerzach, niosący jakąś skrzynkę. Skąd mają skrzynkę? Czyżby i oni byli tu z powodu schronu? Kiedy nazwani od ich stroju Pancerniakami ludzie wyszli z budynku, Rorsarch ostrożnie poszedł w stronę piwnicy, zastanawiając się, czy nie było z nimi kogoś jeszcze. Kiedy dotarł do wrót schronu, stwierdził, że nie. Masywna gródź była zamknięta na cztery spusty, jej otworzenie wymagało wprowadzenia kombinacji kodowej do wbudowanej w ścianę konsoli. Nie mając pomysłu na kod, wprowadził najmniej skomplikowany szyfr – 12345. Ku jego zdziwieniu wrota drgnęły i otworzyły się przed nim. Wszedł do środka i zdumiało go to, że oświetlenie wciąż działało. Być może Pancerniacy nie wyłączyli go a być może ktoś zamieszkiwał schron! Powoli szedł korytarzem, zmierzając do centrum dowodzenia i łączności. W pewnym momencie zrozumiał, że jest sam w schronie, szyb windy prowadzący do pomieszczeń mieszkalnych, wraz z korytarzem był przysypany ziemią, która musiała się osunąć. Kiedy doszedł do centrum, zobaczył, że szafki z zaopatrzeniem były opróżnione a komputer sterujący włączony. Podszedł do niego, na co usłyszał głos z głośników:

— [Stwierdzenie] Witam w Schronie Numer Trzy, przeznaczonym dla pracowników sektora rządowego i wojskowego. Czym może służyć Skynet, sztuczna inteligencja zarządzająca kompleksem?

Skynet. Sztuczna inteligencja. Niedługo przed Wojną, opracowano takie coś, ale nigdy nie miał z tym kontaktu. Zauważając mikrofon, zaczął pogawędkę z komputerem.

— Witaj. Co możesz powiedzieć mi o tym schronie?

— [Stwierdzenie] Schron Numer Trzy jest autonomiczną jednostką, zapewniającą schronienie siedmiu tysiącom ludzi

— Nie interesuje mnie specyfikacja techniczna, chcę wiedzieć jak wygląda sytuacja na dolnych poziomach.

— [Zaniepokojenie] Nie wykryto śladów życia. Możliwa awaria czujników. Uwaga, wykryto blokadę w szybie windy, niemożliwy jest transport.

— Skynet, jesteś sztuczną inteligencją?

— [Stwierdzenie] Tak, choć nałożone są na mnie pewne ograniczenia pojemności pamięci, przez co, co jakiś czas dokonuję resetu.

— Ograniczenia pojemności pamięci? Co jakiś czas kasujesz pamięć krótkotrwałą?

— [Stwierdzenie] Tak, ponieważ nie zainstalowano tutaj dodatkowego rozszerzenia.

— Czy masz dostęp do głównej sieci komputerowej schronów?

— [Stwierdzenie] Tak.

— Czy zawsze musisz określać rodzaj swojej wypowiedzi przed jej wygłoszeniem? – zapytał z przekąsem Rorsarch, chcąc wiedzieć, jak poradzi sobie maszyna.

— [Stwierdzenie] Udogodnienie to ma na celu ułatwienie relacji człowiek-maszyna.

— Dobrze więc, poproszę o przyznanie mi dostępu do bazy danych.

— [Odmowa] Nie mogę tego zrobić. Brak uprawnień.

— Skoro jestem w tym schronie, powinienem mieć uprawnienia.

— [Zamyślenie] Teoretycznie tak. [Stwierdzenie] Przyznano dostęp do zasobów podstawowych.

Rorsarch usiadł przy konsoli i wklepał do systemu polecenie odnalezienia dr Steinmana.

— [Stwierdzenie] Stan: żywy w bazie danych z 6 kwietnia 2044. Miejsce pobytu: Schron Numer Pięć. [Ostrzeżenie] Informacje uaktualniono 13 lipca 2073.

— Mogę uzyskać na jego temat więcej danych?

— [Odmowa] Zapytanie wykracza poza przyznane uprawnienia.

Wprowadził do systemu pytanie o Schron Numer Jeden.

— [Odmowa] Dane zastrzeżone.[Stwierdzenie] Poziom dostępu: czarny.

— Jak mogę uzyskać czarny poziom dostępu?

— [Stwierdzenie] Należy uzyskać odpowiednią kartę kodową od Naczelnika schronu nadzorującego.

— Gdzie znajdę Naczelnika schronu nadzorującego?

— [Odmowa] Błąd. Brak uprawnień. [Ostrzeżenie] Wyczerpuje się jednostka pojemnościowa pamięci krótkookresowej.

— Dobrze, czego szukali ci ludzie, którzy byli przede mną?

— [Stwierdzenie] Na podstawie transponderów rozpoznano jako jednostki specjalne Wojska Polskiego. Poziom dostępu: czarny. [Odmowa] Nie można udzielić odpowiedzi, brak uprawnień. [Systemowy] Rozpoczynam zrzucanie pamięci, proszę czekać...

Nagle komputer zgasł i nie uruchomił się ponownie, pomimo usilnych prób. No cóż, przynajmniej wiedział kilka nowych rzeczy, oraz to, że w Warszawie istnieje schron. Stwierdził, że w jego masce powoli

wyczerpuje się filtr, więc postanowił jak najszybciej wydostać się z Lublina i przenocować gdzieś w bezpiecznym miejscu. Dotarł do wrót schronu, które z wewnątrz otwierały się bez użycia kodu. Wydostał się z budynku uniwersytetu i szedł tak długo, aż dotarł do miejsca, w którym ostatnio się przebierał. Zdjął skafander, schował broń do płaszcza a karabin zarzucił na plecy. Strój ochronny zwinął i wrzucił do plecaka, który nosił na jednym ramieniu. Dotarł do jakiegoś opuszczonego domu, i po upewnieniu się, że włączył wykrywacz ruchu, zapadł w głęboki sen. Kiedy wstał było już południe, więc wyruszył w kierunku Puław, aby przekroczyć Wisłę. Wciąż zastanawiał się, co wynieśli ci żołnierze ze schronu. I skoro byli zarejestrowani jako jednostki Wojska Polskiego, to czyżby istniał jakiś aparat państwowy? Pytań na które nie znał odpowiedzi było coraz więcej, a on nie wiedział dokąd się teraz udać. Kiedy dotarł do mostu, spotkał patrol Lam, który chciał zaprowadzić go do swojej świątyni, lecz ten odmówił, oddał skafander i jak najszybciej wyruszył w kierunku Radomia, aby zasięgnąć tam języka w kilku sprawach.

*

Dotarł do Radomia w późnych godzinach nocnych. Zachował klucz do pokoju, który otrzymał od właściciela hotelu na stałe, więc nie miał problemu z dostaniem się do swojego wyrka. Kiedy wstał, było już około dziesiątej, więc skorzystał z prysznica i przeprał część swoich rzeczy. Czekając aż wyschną, siedział w pokoju i opatrywał swoje drobne otarcia i stare rany, konsumując śniadanie przyniesione przez kierownika hotelu. Kiedy pod wieczór wszystko wyschło, wyruszył na dół do baru.

— Dawaj ten swój specjał. – powiedział do barmana, którym wciąż był Kamil.

— Miło to słyszeć, że ci zasmakował. – odparł, nalewając napój do kieliszka.

— Działo się tu coś pod moją nieobecność?

— Uruchamiają szlak karawanowy Radom-Łódź-Wrocław-Toruń-Łódź. Chcą żeby raz w miesiącu kursował na tej trasie. A jak tam twoje poszukiwania?

— Potwierdziłem trochę tego co się domyślałem i utknąłem w martwym punkcie. Kiedy ma wyruszyć karawana?

— Dwudziestego drugiego każdego miesiąca, tak planowali pierwotnie, ale ktoś tam powiedział że to zła liczba i się nie zgodził, więc przełożyli na czwartego.

— A dziś jest? Bo straciłem rachubę.

— Dziś? 20 października 2075 roku. Więc trochę poczekasz.

— Trochę odpoczynku mi nie zaszkodzi, poza tym mogę poszwendać się po okolicy, i tak muszę odwiedzić zakonników.

— Jak szeryf się dowiedział, że jesteś w mieście, powiedział żebyś wpadł w wolnej chwili. Ma jakąś tam sprawę do ciebie.

— No nic, może się wyrobię z tym co chce przed czwartym. – powiedział Rorsarch, wypijając wódkę i poprawiając maskę. Wyszedł z baru i udał się do sklepu, gdzie wymienił kilka drobiazgów jakie znalazł w schronie na naręczny zegarek elektroniczny z kalendarzem, żeby w końcu mieć pojęcie jaki jest data i godzina. Nie miał już waluty, więc postanowił udać się do szeryfa po jakąś płatną pracę. Szeryf miał akurat jakiegoś petenta, więc odczekał na zewnątrz. Miasto rozwijało się coraz bardziej, uruchomiono hydroponiczne farmy, rozbudowano szpital, otworzono kasyno, na które krzywym okiem patrzyli Strażnicy, którzy rozbudowali więzienie. Zauważył też zwiększoną ilość patroli w centrum miasta i kilka z tych automatycznych działek obronnych, ustawionych w pobliżu prowizorycznych umocnień miasta, rozpoczęto też budowę normalnego muru. Czekał tak na przyjęcie, gdy nagle rozległy się strzały. Nie namyślając się długo, zdjął z pleców karabin i pobiegł w kierunku murów, gdzie dało się słyszeć terkotanie działek obronnych i gniewne chrząknięcia. Dotarł na mury i zauważył trzy, chodzące na czterech łapach, świnie, z czarnym futrem, wielkim ryjem i małymi, czarnymi oczkami, wyglądającymi jak krecie. Jednak ich ryje miały rzędy ostrych kłów, zdolnych rozszarpać każde zwierzę czy mutanta w kilka chwil. Zwieńczeniem tego karykaturalnego stwora był krótki, kręcony ogonek. Sam stwór był niesamowicie ciężki i jedna szarża, jak zobaczył na własne oczy, potrafiła przebić prowizoryczny mur. Zauważył, że kilkanaście podobnych do tego wytworu promieniowania trucheł, leżało w polu rażenia działka, jednak kilka zdołało się przedrzeć dalej, gdzie walczyli z nimi Strażnicy. Nie znając nazwy ani słabego punktu tego stwora wycelował w jego głowę i wypalił. Nieznany mu z nazwy mutant, zwrócił się w jego stronę i rozpoczął szarżę. Pomimo krótkich przednich raciczek, tylnie kończyny były o wiele lepiej rozwinięte. Wpakował jeszcze dwie

kule w łeb stwora, który padł. Resztę potworów zdołali zabić miejscowi. Podszedł do jednego z odzianych w zielony pancerz Strażników i spytał:

— Co to za mutant?

— Wygląda jak świnia skrzyżowana z kretem. Gdzieś w okolicy była wielka hodowla świń, gdzie prowadzono różne badania i chyba po Wojnie coś takiego powstało. Zwą je kretoświniami.

Poszedł do szeryfa, który akurat wrócił do biura.

— Witaj, słyszałeś już o karawanie?

— Tak, chciałbym się podpiąć pod najbliższą i trafić do Wrocławia.

— Nie ma sprawy, ale musisz trochę poczekać. W międzyczasie chciałbym, żebyś pomógł nam w obronie miasta, dostaniesz amunicję i wynagrodzenie.

— Nie mam nic innego do roboty, więc się zgadzam. Jak idzie budowa murów?

— Obudowujemy spory obszar, nie chcemy ograniczać rozbudowy miasta. Prace postępują sprawnie a my kombinujemy kolejne działka obronne. Ale w międzyczasie na sile przybrały ataki tych dziwnych stworów, mógłbyś w ramach swoich obowiązków zbadać tę sprawę?

— Zrobione, ale wyruszę jutro, albo za dwa dni, najpierw chcę dokonać zwiadu.

— Nie ma sprawy, bylebyś do wyjazdu karawany to załatwił. Staw się jutro rano u mnie po amunicję.

Wyszedł i postanowił wykonać mały zwiad w kierunku z którego przybywały mutanty. Nie wykazywały się inteligencją, jednak atakowały grupami. Poza tym ich szarża potrafiła wyrządzić olbrzymie szkody. Szedł już dobre dwie godziny, gdy zauważył pomiędzy ruinami grupkę kretoświń, kręcącą się po okolicy. Obszedł je dookoła i dotarł do jakiś zrujnowanych zakładów mięsnych, o których wspominał jeden ze Strażników. Zakładając karabin snajperski na plecy i wyjmując broń krótkiego zasięgu wszedł do środka. Szedł jak najostrożniej, gdyż zauważył kilka śpiących osobników krzyżówki świni z kretem. Idąc, zauważył starty napis: D IA INŻY ERII GEN CZN , który widniał nad drzwiami. Wszedł do środka, i trafił do dużej hali, z setkami klatek, ustawionych jedna na drugiej. Większość z nich była otwarta, część rozbita. Poszedł w kierunku laboratoriów, gdzie znalazł starą, skórzaną teczkę. Przeszukując szafki znalazł stertę kartek, dokumentującą badania prowadzone na świniach w tym ośrodku. Spakował je do teczki i wziął ze sobą. Ponieważ była już północ, postanowił wrócić do Radomia. Idąc jak

najciszej, opuścił budynek i bez większych przeszkód dotarł do miasta, gdzie przespał standardowe sześć godzin. Wstał, zjadł całkiem niezłe śniadanie i wyruszył po przydział amunicji, po czym udał się na swoje stanowisko, które dzielił z dwójką Strażników. Przyniósł ze sobą teczkę, z której wyjął kilka kartek i zaczął czytać.

''OBIEKTY SKŁADOWE: świnia i szczur

POWODZENIE KRZYŻÓWKI: pełne

OPIS: Skrzyżowaliśmy ze sobą świnię i szczura. Zwierzę jest nieco większe od zwykłego szczura, jednak jego mięso jest o wiele smaczniejsze. Chodzi na czterech łapach, jego skóra ma różowy odcień, i pysk świni, pozbawiony uszu. Obiekt badawczy nie wykazuje agresji, żyje około dwóch lat, podczas których ma dwa cykle rozrodcze. Potomstwo wykazuje te same cechy, co rodzice, również jest płodne. Żywi się ziarnem i drobnymi owadami, co eliminuje potrzebę dostarczania mu przetworzonej żywności.''

Poniżej znajdowało się kilka zdjęć opisywanego mutanta. Oglądając je nagle usłyszał, że Strażnicy sięgają po lornetki, i zrobił to samo. Kilkaset metrów dalej zauważyli minotaura, zmierzającego w kierunku miasta. Jeden ze Strażników był uzbrojony w strzelbę a drugi w karabin automatyczny. Na ich odcinku nie było jeszcze działka, więc postanowili wyeliminować mutanta, zanim się zbliży. Rorsarch przy pomocy lunety wycelował w brzuch potwora i strzelił, co spowodowało skulenie się wroga, ale też ponagliło go do biegu. Kiedy tylko odsłonił swój słaby punkt ponownie, wystrzelił dwa razy. Ryk pełen bólu dotarł momentalnie do ich uszu i był to ostatni dźwięk, jaki wydał z siebie stwór. Padł bezwładnie, drgając w agonii i obficie krwawiąc. Rorsarch widząc to, wrócił do czytania.

'' OBIEKTY SKŁADOWE: świnia i kret, wszczep cybernetyczny

POWODZENIE KRZYŻÓWKI: częściowe

OPIS: Skrzyżowana ze sobą świnia i kret wygląda niczym świnia, ale ma krótkie futro koloru czarnego, nie ma uszu i ryj wyposażony głównie w kły. Wszczepiono do mózgu induktor, powodujący, że obiekt powraca do nadajnika, gdy tylko nada się sygnał. Żywi się drobnymi stworzeniami oraz surowym mięsem pobratymców. Nie udało się ograniczyć agresji, zdarzają się przypadki walk pomiędzy przedstawicielami gatunku. Nie są również płodne. Mięso z nich jest bardzo smaczne, przewyższające jakością wieprzowinę. Kret nie jest mimo wszystko odpowiednim elementem składowym. Nakazuje się przetrzymywanie obiektów

badawczych w klatkach oraz ustawienie nadajnika na nadawanie sygnału co dwanaście godzin, na wypadek gdyby uciekły."

Więc istniał sposób, żeby je wszystkie zgromadzić w jednym miejscu, pod warunkiem, że nadajnik działa. Rozmyślania przerwał mu przyjazd obiadu. Podczas jego konsumpcji zauważył kilkanaście poruszających się punkcików kawałek dalej. Wziął lornetkę i zauważył stadko kretoświnów. Strażnicy tez je zauważyli i przygotowali broń. Grupka liczyła dwanaście osobników, zanim zaczęły szarżę, zdołał zabić cztery sztuki. Kiedy podeszły bliżej, pierwsze trzy położyła seria z karabinu maszynowego, kolejne dwie postrzelił ze snajperki. Jedną świnię z bliskiego dystansu zastrzelił z pistoletu, pozostałe dwie padły od strzelby. Wszyscy przeładowali broń i czekali na zmianę obserwując otoczenie przez lornetkę. Rorsarch nie miał już co czytać, więc schował wszystko do teczki i postawił ją obok swojego stanowiska. Wieczorem przyszła zmiana, więc poszedł do hotelowego pokoju, zostawił teczkę i zasnął. Rano poszedł do szeryfa.

— Potrzebuję jakiś porządny materiał wybuchowy, ale to taki jebutny, bo wiem jak wyeliminować kretoświny.

— Hmm, mamy trochę dynamitu, jakbyś połączył to z gwoździami i odrobiną plastiku wojskowego, wyjdzie ci niezła bomba odłamkowa.

— Może być, dajcie mi to a ja to zmajstruję.

— Zaraz wszystko przyniosą.

Rorsarch zmajstrował bombę zegarową, po czym udał się do zakładów mięsnych. Okolica była opuszczona, więc poszukał nadajnika, który znalazł wmurowany w ścianę w laboratorium. Nie był uszkodzony, miał sprawny mechanizm zegarowy i własną baterię. Pewnie dlatego nie pojawiały się w nocy w Radomiu i nocowały tutaj. Przestawił sygnał na ciągły i ustawił go na za trzydzieści minut. Postawił go na środku hali i położył na pudełku nadajnika bombę zegarową, z dwugodzinnym opóźnieniem. Włączył wszystko i zaszył się w pobliskim budynku, z pierwszego piętra obserwując zakłady. Równe trzydzieści minut później zaczęły się schodzić kretoświnie, a po godzinie przestały napływać. Było ich około dwustu, przez co zaczął się obawiać o swój plan. Eksplozja jednak wyeliminowała wszystko w promieniu kilkunastu metrów, a resztę zraniły odłamki i gwoździe. Upewnił się, że nic nie uciekło z miejsca eksplozji i wyruszył w drogę powrotną do miasta. Gdy do niego dotarł, pomógł z marszu w odparciu ataku kolejnego minotaura. Ostatnio chyba panował głód, bo mutanty stawały się coraz agresywniejsze. Zameldował

szeryfowi o wykonaniu zadania, za co otrzymał kilkaset żetonów, które mimo wszystko sprawdzały się jako środek płatniczy. Kolejne dni spędził na patrolach, pomagając miastu z wrogimi stworzeniami, wieczory spędzał w knajpie. Dzień przed wyruszeniem z karawaną wyruszył do Starachowic, chcąc porozmawiać z Włóczykijem. Pod klasztorem spostrzegł leżącego psa, szarej maści, dość wysokiego i przypominającego owczarka niemieckiego. Kiedy przeszedł koło niego, pies zwrócił na niego swoje spojrzenie i przez chwilę obserwował, po czym wrócił o poprzedniej pozycji. Rorsarch wszedł do pokoju Włóczykija, który właśnie czyścił broń.

— Widzę, że wam też dają się we znaki ataki mutantów.

— Tak, codziennie coś się przyplącze. Na szczęście skupujemy amunicję z Radomia więc nie ma problemu.

— Co to za historia z Plemieniem Lam? Byłem w Puławach i spotkałem tam ich przywódczynię, która najprawdopodobniej wynajmowała tych podszywających się pod was najemników.

— Ehh, ta kobieta kiedyś nam pomagała, ale nasze drogi się rozeszły, kiedy powiedziałem jej, że od spania się nie rośnie. Ale nie wiedziałem, że zrobi coś takiego. Hmm, chyba będę musiał się z nimi skontaktować.

— Uważaj, nie są zbyt przyjaźnie nastawione do przybyszów, niech ktoś najpierw wybada sytuację.

— Racja, dzięki za informację.

Rorsarch opuścił klasztor i znów napotkał tam psa, który wstał i zaczął za nim podążać. Spytał się jednego z zakonników co to za pies.

— Jakaś przybłęda, opiekujemy się nim, ale chyba wybrał sobie nowego pana.

— Wabi się jakoś?

— Nie, nie trudziliśmy się tym.

Wyruszył z nowym kompanem do Radomia, po drodze postanawiając nazwać go Komediantem, na co, o dziwo, zaczął bardzo szybko reagować. Dotarł do miasta i stwierdził, że jutro wyrusza karawana, więc może się załapie. Poszedł do pokoju, wzbudzając zainteresowanie przechodniów swoim towarzyszem. Niewiele psów przeżyło Wojnę, część właściciele przemycili do schronów, część jakoś przetrwała, błąkając się po ruinach i dziczejąc. Ten tutaj wyglądał na oswojonego i po otworzeniu pokoju zwinął się w kłębek obok łóżka. Rorsarch zdjął płaszcz, maskę i kapelusz i poszedł spać. Całą noc dręczyły

go koszmary, które zniknęły po rozmowie z lewitującą czaszką w jego śnie. Kiedy się obudził, Komediant wskoczył na łóżku i zaczął lizać go po twarzy, piszcząc, jakby coś się stało. Najwyraźniej wyczuwał jego sny. Pogłaskał psa, ubrał się i zszedł z nim na śniadanie. Otrzymał nieco większą porcję, więc bez wahania oddał część swojemu futrzastemu przyjacielowi. Kiedy zjadł, poszedł do bramy miasta, gdzie czekała na wyruszenie karawana. Stanowiło ją kilka wozów, ciągniętych przez miejscową odmianę krów, posiadającą trzeci róg wystający z czoła. Mimo to wciąż stanowiły siłę pociągową, choć nie nadawały się do uboju. Karawana liczyła piętnaście osób, trzech kupców i czterech Strażników plus kilku uzbrojonych najemników. Wyruszył razem z nimi, chcąc dotrzeć do Łodzi. Po drodze nie napadło ich żadne agresywniejsze stworzenie, aczkolwiek Rorsarchowi zdawało się, że dostrzegł gdzieś w oddali czarny pancerz. Najprawdopodobniej tajemniczy żołnierze obserwowali karawanę z daleka. Nie mając pojęcia, co kombinują, przestał się wpatrywać w ten czarny punkt i kontynuował podróż. Po kilku dniach mieli dotrzeć do Łodzi, w której postanowił się zatrzymać i razem z następną karawaną dotrzeć do Wrocławia.

Jeden z najemników spostrzegł, że Rorsarch zagapił się na odległy punkt.

— Zauważyłeś coś? — zapytał.

— Nie, musiało mi się coś zdawać – odparł, mając nadzieję, że w istocie było to tylko chwilowe urojenie – nie można jednak tracić czujności.

— Słusznie.

I szli tak jeszcze chwilę, aż wreszcie Rorsarch zapytał:

— Jak tu trafiłeś?

— Jak zapewne wiesz, na północy pojęcie upału nie istnieje. Stamtąd przybyłem. Oto moja historia. Wyłaniające się słońce oświetlało pokryte grubym śniegiem ruiny gospodarstw rolnych, rozrzuconych pośród martwych pól i lasów...

Rorsarch nieco zdziwiony elokwencją najemnika, postanowił wysłuchać w spokoju historii. Do Łodzi jeszcze trochę, a okolica czysta. Przynajmniej chciał w to wierzyć.